·RVBIKON·



·JVLJVSZ·KADEN·BANDROWSKI·

RUBIKON

Juljusza Kaden-Bandrowskiego:

Niezguła, powieść. Nakładem B. Połonieckiego. Lwów 1911. (Wyczerpane).

Zawody, nowele. Spółka Nakładowa „Książka“. Kraków 1911. (Wyczerpane).

Proch, powieść. Spółka Nakładowa „Książka“. Kraków 1912. (Wyczerpane).

Zbytki, nowele. Spółka Nakładowa „Książka“. Kraków 1914. (Wyczerpane).

Piłsudczycy. Nakładem Naczel. Kom. Narod. Oświęcim 1915. (Wyczerpane).

Iskry. Nakładem Wied. Kurjera Polskiego. Wiedeń 1915. (Wyczerpane).

Bitwa pod Konarami. Nakładem Centr. Biura Wyd. N. K. N. Kraków 1915.

Mogiły. Nakładem Wydz. Narodowego Lubelskiego, Lublin 1916. (Wyczerpane).

Spotkanie, nowele. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1916.

Łuk, powieść. Towarzystwo Wydawnicze. Warszawa 1918.

Wyprawa Wileńska. Wydanie II. Warszawa 1919 (wyczerpane).

Ppułk. Lis Kula, Wydanie II. Bibljot. „Żołnierza Polskiego“. Warszawa 1920.

Wianki, Warszawa 1920.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

RUBIKON

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS"
E. WENDE i S-ka — WARSZAWA, M. NIEMIERKIEWICZ — POZNAŃ, H. ALTENBERG — LWÓW, TOW. KSIĘGARŃ KRESOWYCH — TORUŃ, LUDWIK FISZER — ŁÓDŹ.

Druk R. Olesiński, W. Merkel i S-ka, Warszawa, Chłodna 37.

A gdy nas ze wszystkich stron przeciwności obskoczą zaś zdaleka opar następuje mglisty... Gdy się łamią w oczach naszych ostatnie nadzieje i nie jest wiadomy kres i nic prócz złości koniec ze sobą nie przynosi... Gdy droga nasza, pełna okrzyków i wszelakiej otuchy, biegła równo pośród zielonego świata, coraz lepszych czasów... A teraz odchylają się od nas lepsze czasy i pomartwiła się cała zieloność i nic nie widać prócz mitręgi...

W takim zastanowieniu kamiennem, gdy to, co było polotem, staje się ciężarem, na szyi uwieszonym, — każdy patrzy, gdzieby miał, — w zapomnianych rozpadlinach, w nienawiedzanym już dawno jarze, czy też na błoniu swej duszy otwartem, — coś, coby zatrzymało, wzmocniło...

Coby się stało nowem popchnięciem ustałego koła do nowego obrotu i do świeżych, radosnych błysków pośpiechu...

Jest nas takich ludzi, których przeciwności obskoczyły i zewsząd trzymają, wielkie mnóstwo. Lecz w tym razie naszym, w tym przypadku ciężkim, nie pora ze smutkiem na martwy koniec drogi spoglądać... Bo ktokolwiek myśli, iż coś kończy, niczego nie wyczerpuje... Wszyscy bowiem, ponad wszelkie nasze rozumienie, wiecznie, dla życia jesteśmy postanowieni.

Tak samo, — kto w tym razie wszelkich rąk opuszczenia i gorzkiej pustyni w piersiach rozścielonej, — kto się ugina, albo gotów swoją rzecz sto razy pod górę wytaczać o krzywdę własną, — ten nie jest w zgodzie z tymi krokami rzeczy, czasów i prawd, którymi one chadzają ku nieznanemu nam nigdy naprawdę zamknięciu...

Nie należy więc i wcale nie trzeba swej krzywdy sto razy pod górę toczyć, lecz trzeba poszukiwać tych przedziwnych zbiegów życia z człowiekiem, gdzie się wypowiada moc w zwalczaniu przeciwności, wielki urok małego ciała ludzkiego, które się na potęgi, na wodę i słupy ognia, które się swem czuwaniem na przestwór płynący porwało i dotrzymało...

Każdy z nas widział gdzieś takiego człowieka i takie jego spotkanie z losem. Spotkanie, od którego niemieje wszystko w piersi, lasy rzedną, blednie trawa, wiatr oddech swój zatrzymuje, woda się płynąca w miejscu ostanawia i jest tylko twarda wola po jednej stronie, — a po drugiej nowy świat cały do stworzenia dopiero...

Każdy, kto rośnie a nie zasycha i nie znika, spotkanie takie trzyma w swej piersi, jakby gdzieś, na mroźnym odludziu trzymał ostatnie, jedyne iskry ognia, od którego wszystko jest zależne... Każdy te iskry hoduje i rozdmuchiwa tchnieniem własnem, w które wtopione są najdroższe, najpiękniejsze zapachy całego jego życia

Wielkiego czasu wojny, gdy ludzie chadzali z losem swym za pan brat, a ze śmiercią nieprzeliczoną pod rękę, wiele się ujawniło miejsc i nieprzebrane trysnęło mnóstwo dróg, na których pierś o pierś potykał się z człowiekiem czas..

Było z tego wiele światła, które na wieki zgasło, śmiercią pochłonięte, ale wiele jest iskier, które płoną w piersiach

żywych ludzi... Oddać je innym, sprawić, żeby się ten ogień krzewił dalej i jeszcze dalej, — to niezawodne szczęście pisarza.

A jeśli się od tego schnie i z liści, z krasy opada i jeśli się od tego w konarach głównych pustoszeje, nader przewiewnym się stając, — to nie w tem rzecz... Bo nie oto, by stare drzewo trwało, toczy się dzień i noc na zmiany, lecz płyną, przeplecione cudownie, by wiatr kruszył starą drzewinę, gdy jej nowe ziarno w ziemiach spoczęło...

RUBIKON

Nocami hasał krąg ogni, w którego głębinach, niby zgorszona opatrzność, ukazywał się nam straszny gniew wojny, trzaskający kudłami płomienia...

We dnie szliśmy w długim pościgu, na poły nieprzytomni, pomiędzy jasną pogodą lata a trupami naszych kolegów.

Niech nikt nie mówi, że coś wiedział, lub rozumiał... Jak chłopcy strzelaliśmy ostrymi ładunkami wpośród lasów kwitnących... Jak malcy, uczepieni do bezbrzeżnego obwodu wojsk, śpiewaliśmy na drogach... Jak dzieci biegliśmy na bagnety, odbijać wsie i miasta jednemu, aby je drugi miał, a sami wciąż z próżnemi wychodziliśmy rękoma...

Za nas wszystkich musiał myśleć Piłsudski,—a myśmy mu wystawili wartę. Dzień i noc chodzi pod jego oknami, przez wszystkie postoje, przez wszystkie dnie i noce, przez wszystkie pola ziemi, góry, doliny i trudy. Gdzie spocznie Wódz, tam go strzeże warta, jak ciało duszę...

Zaś wszyscy inni są wolni i swobodni.

Ten oto wlecze swe siodło, z którego zwieszają się strzemiona i dzwonią w letnim słońcu srebrnymi półksiężycami, tamten usiadł na progu chaty i niczem w roju padalców, grzebie w czarnych rzemieniach, których żelazne sprzącz-

ki, jak ostre szczęki szczerzą się ku światłu... Inni leżą przy wydeptanej ścieżce, poodal chałupy, w której jest utwierdzone to koczujące Piłsudskiego dowództwo. Oczy mrużą pod blask południa i patrzą na wstrząśniętą, zakłóconą ziemię Lubelszczyzny. Starasiło ją setki tysięcy stóp i strasznie pogryzł pożar, założony przez Rosjan.

Ja zaś siedzę przy skraju warzywnego ogrodu, polany słońcem, na małej ławeczce, którą dwa słabe polana przytrzymują. Doszły mnie listy z daleka, od drogich ludzi, listy i podarunki. Trochę jedwabiu, trochę jedzenia, jakaś wstążka, słowem, karawana bogata z domu dalekiego, który się tam gdzieś we wielkim świecie wojny małą łupiną kołysze po falach ogromnych.

I z tego właśnie teraz powodu wielka przyjaźń zakwita we mnie do całego świata, pomięszana z najtroskliwszem pobłażaniem...

Widzę przed sobą grzędy marchwi i pietruszki, a czupryny ich naci, rzekłbyś rękami pospiesznej wesołości wycinane w drobne ząbki, mierzwią się i kołyszą, myląc oczy perłowymi uśmiechy... Widzę tuż obok kostropaty gnat starego krzaka bzu, z którego znów wykwitły i z wiatrem się ku górze wydzierają liście kształtne,—jak młode, zielone serca...

Opadł mnie i przepoił jeden na wszystko najrozmaitsze, znak, który jest liściem, to znów piętnem cienia, lub błyskiem nieba, albo też osypaniem sie prochu kwietnego, albo też niemym przelotem cichych kosmyków kory, z jednej strony, na drugą...

Opadł mnie znak radości, który sprawia, że choć tak dużo zdarzyło się niedawno, tyle bitew i znów tyle krwi i Niemcy wzięli Warszawę,—że nic mi to wszystko nie znaczy..

Poodal słychać od stodoły wściekłe ujadanie, głuchy tupot koni, szarpaninę uprzęży i wrzaski...

To nic, to się nasi żołnierze żrą z Czechami austrjackimi, z pewnością zaraz się zaczną po pyskach tłuc. Słowa się tam wygniatają z szerokich wrót stodoły, coraz gorsze, tłumem coraz pośpieszniejszym...

Gdy wtem przyszedł do mnie Szef, że zaraz jadę wtył, do tej a tej wsi, że jedzie tam każdy osobno, aby żadnej sensacji Austrjacy nie przewąchali, gdyż w wielkiej tajemnicy Komendant wyrusza dziś do Warszawy.

Trudno mi było zrozumieć, w jakiż to sposób pojedzie ten dowódca brygady, jakich jest pono setki i setki w rozporządzeniu A. O. K.? Lecz któremu nikt nie dowierza, który chodzi między nami a komendą Legjonów, obsadzoną przez Austrjaków, bez odznak i dystynkcji, jakby już na pół gotowy i przysposobiony do więzienia?... On, który nawet niema prawa pisania marszrut! Za jakim dokumentem, z czyjego pozwolenia?...

Wiadoma rzecz, jak gęste filtry szpiegowskie ustawione są za frontem... Ile razy tu człowieka dotkną i pomacają, ile razy musi pokazać papier, ze wszystkich stron pieczętowany...

A cóż dopiero żołnierz z Brygady, który na froncie ceniony jest, jak perła, lecz którego na tylach obsiadają Austrjacy i tak poniewierają po czarno-żółtych „amtach".

Nie dowiedziałem się żadnych szczegółów. Lecz już rozpostarła się w człowieku ta rzecz powszechna, to wyższe dobro, tyle razy bezsilnie przeklęte i znów gorąco uczczone... Znów wraca wszystko w swe formy przykazane i już nie ty władasz sobą, a tylko to, co rośnie poza tobą, nie w drzewie i nie w polu, i nie na wodzie, — lecz niewidocznie uplecione z wszystkich przymusów życia...

Już moje nowiny z domu upchane są w małych trokach, już wstałem, drzazgi małej ławeczki iskrzą się w słońcu poza mną, a ja już znowu jadę ku tej rzeczy powszechnej...

Znowu się trzęsie człowiek z powrotem drogą, którą był naprzód szedł. Rozlane zdroje łanów, chrzęst bezmierny tej fali suchej a płynnej, na błękitnym niebie białe żagle wzdęte i ciągły syk wśród zbóż, jak głos najpogodniejszego zapomnienia...

We wsiach prawie nikogo, ludzie się pokryli w dziurach na ziemniaki, żołnierze naprzód wyszli. Tylko w rozwalonych stodołach, we wrotach szerokich, niczym sama gościna, do cna rozwartych, pomiędzy złamanym wytryskiem słomy, za oknami chałup, gdzie pod pułapem buja lekko, w mroku, mały kręciek chłopskiej radości, ze strzyżonego lepiony papierka, — myszkują za armją tłuste żandarmy austrjackie.

W ciemnozielonych mundurach, z błyskiem złotego orła na korkowym hełmie, tłuści i grubi, z żądłem bagnetu nad głową, podobni są do tych chrząszczów—łajniarzy, które przez wszystko idą wskroś...

A przecież, — myślę, jadąc przez tę obławę, — jeżeli się Piłsudski wybiera do Warszawy, będzie też musiał mijać takie pogonie. I nagle wydaje mi się, że gdzieś, na tle tych starych, złotych stodół, niczym przed otworzoną arką polskiej doli, obsiędą go te chrząszcze i nie udźwignie na sobie tego mnóstwa, tak, — że go pokryją i stoczą...

Zajechałem nareszcie przed folwark rozległy, dyszący fjoletowym cieniem białych ścian na zieleń murawy dokoła. Przed zajazdem, jak wszędzie, gdzie stoi mnóstwo koni, wlokła się złota kosa słomy, od werandy, aż daleko ku wszystkim stajniom i stodołom. Jak na porę wojenną cicho tu było prawie. Czasem tylko przeleciał rzewny głos po listowiu ogrom-

nych topoli, ustawionych rzędami i mięszał się z kłębkiem ludzkich głosów od strony domu.

Zajrzałem przez okno.

Piłsudski siedział za stołem, pod ścianą. Ułany tam i sam po kątach, nad wszystkiem kołaczące za szybą ściennego zegara małe słoneczko wahadła.

Nie, żeby to był strach, lub jakaś horendalna czołobitność... Ale kiedy jest we dworze, czy w izbie, na wsi, o widok ziemi i drzew oparty,—sprawia Komendant, że się ludzie sami przez się od niego oddalają... Bowiem jest jakaś tradycja w tym człowieku, wielka a mimowolna... Ona to sprawia, iż wszystko, cobyś sobie chciał przypomnieć rycerskiego z doby twych dziadów, lub z jasnego pasma historji twego kraju, wszystka powaga, troska,—taki właśnie przyjmuje kształt żołnierski, jaki on ma...

Oto pije herbatę, odsuwa wąsy, huczy z piersiowej głębi swego głosu i nic przecie nie działa teraz, a ty czujesz, ty i wszyscy, jak droga jest każda chwila przemijania, już przez niego za siebie odrzucona...

Mówi się o byle czem, dziś trzynasty sierpień, że trzynastka feralna jest i lepiejby było podróży, tego dnia właśnie nie zaczynać. Równocześnie, gdzieś w kącie, idzie dalej targ o konie, — jakież konie, jakiż wehikuł da rotmistrz Komendantowi?

Oficerowie, którzy z nim jadą, są już przerobieni na prostych żołnierzy. Nazywać się będzie przez drogę, że Komendant zachorował, że,—serce,—szmery,—i oto doktór go wiezie po poradę do Warszawy.

Najtrudniejsza rzecz z marszrutą.. Nic nie jest milsze mwładzo od tego, by był chory... Aksamitemby mu wagon

usłali, wszystkimi napisami okleili i do wszystkich Kissingenów wyprawili...

Ale wówczas nie dojedzie do polskiej stolicy, gdzie już działacze wszystkich cen niedrogie swoje słowa mówią, nazwisko mu przyprawują, już może je na centy rozmienili i już może na wadze jakiejś ugody ważą?...

Więc się robi w porządku wojskowym fakt niebywały, że sobie Komendant marszrutę sam podpisuje...

Dwuch oficerów to vorreitery, a innych dwuch to koniuchy, na drugim wozie, z rzeczami.

„Więc natośmy po tylu Związkach, po tylu zagranicach, po tylu Strzelcach biegali, i na to się przez rok tak krwawo walczyło, i tylu ludzi w ziemie posiało, aby znowu teraz, w odzieży biednego bezprawia, podkradać się do stolicy!?!

Przeto jeden do drugiego przepija, jeszcze to ośle salami austrjackie przegryzają, lecz trudno się weselić...

Tymczasem targ z ułanami dobity, powóz już podany,— czas wsiadać.

Właśnie jest pora upatrzona, żebyśmy przejechali niezawolno i niezaprędko, szczególnie koło Adamowa (jeżeli mnie pamięć nie myli), wsi, w której stała komenda Legjonów.

Żeby nas jeszcze ci naprzykład nie ujrzeli...

Stoją już koniska, zaprzężone do biednej landary. Landara z bokiem wytartym, z kapucą oberwaną, oraz wcale żadnych stopni nie posiada.

— Kosz, puzdro, tabakiera, psiakrew!!—zżyma się ktoś,— a nie powóz!.. I co za konie,—jakie dziady!

Bo przy tych koniach, to właśnie, jakby przymierzył Rotmistrz z ułanami, do jakiejś przyszłej opowieści, w której będzie wysłowiona wielkość Wodza i to, jak mimo niej dzień

powszedni się pętał i nigdy na włos od swego ustąpić nie chciał...

Pewno, że to nie były wierzchowce i że żaden ułan zsadzony z konia nie został dla podróży, która o losie wojska ówczesnego miała stanowić... Ale były to średnie, zwykłe fornale o wolim kroku ochwaconych kopyt, zaś jeden płuca miał przedęte, że gdy tchnął, to mu się cały kałdun ku tyłowi posuwał.

Drugi wóz jeszcze gorszy, bryczka wrzaskliwa, przegrodzona snopami zamiast siedziska, a kto te sposoby jazdy zna, ten wie, co to będzie, że nigdy snopka twoje siedzenie w pożądanym miejscu pod sobą nie wymiarkuje.

Adjutant Komendanta kłócił się o te konie, białymi oczyma ciskał na wszystkie strony, ale oni, akurat jakgdyby chcieli wyrychtować, żeby to całkiem po szlachecku wypadło,— patrzą po sobie, nic nie rozumieją, na koniach mu urwali, na wozach, a nawet na obroku...

Ruszyły wreszcie te cugi sporym krokiem, ułani na przyźbie baczność stuknęli, ale jak to zawsze z Komendantem, który,—gdy odjeżdża, już nigdy za siebie nie patrzy, tak i tym razem się stało, że, ani ułanów pod strzechą, ani okien, ani wieńca topoli nie widział.

Musieliśmy się wziąć na boczne drogi, które spadają przez mapę cienkim sznureczkiem ku południowi, aż do wielkiej szosy i musieliśmy tak jechać, aby na tę szosę lubelsko-warszawską przybyć już w nocy, to jest wtedy, kiedy prawowite władze wojenne, oraz opasłe wielmoże austrjackiego etapu już dawno śpią, całe prawo tępemu lansztumanowi zostawiwszy.

Wkrótce wieś za nami znikła, roztworzyły się pola łagodne, wzburzone pięknie kępami drzew.

Z początku rozmawiało się o wielu małych sprawach, krasząc je pozorną wesołością wymarszu. Pozorną, bo w głębi tych wszystkich przekomarzań leżało, tak wówczas każdemu z nas znane, nad wszelki wyraz ciężkie uczucie, że oto znów cały nasz zaszczyt i wielkość, pierwszy lepszy feldwebel złamać może i zniszczyć...

Wszystko to rzeczy niedopomyślenia właściwie, a tylko odczuwane bezmierną niechęcią duszy i niepokojem.

A tu jeszcze i ci tak zwani swoi po drodze...

Tak więc żartowało się na wszystkie strony, zaś od wewnątrz palił człowieka rumieniec wstydu. Jeden tylko Komendant wesół był i swobodny, lecz u niego, jak to oddawna wiemy, wszystkie te sprawy innym rachunkiem chodzą, bowiem nie mamy i któż może mieć takie zasług gospodarstwo i takie wyliczenia z Ojczyzną, jak On?...

Na włos od wstydu ciężkiego, na sekundę od wielkiej, przewrotnego prawa napaści, na włos od tego, żeby się ze wszystkich cesarskich kancelarji kamienie posypały i żeby przez jurną większość Polski śmiech leciał, oraz ramion wstrząsanie,—jechał sobie wesoło, jakby mógł jechać gospodarz z folwarku do folwarku, letnim popołudniem, by się dowiedzieć, czy wszędzie aby równo dochodzi nam, to nasze dobre żyto...

Jeszcze trochę zresztą i pochłonęła wszystko boczna droga polska, na którejbyś zapomnieć snadnie mógł, nawet, że serce masz pęknięte, — tak swoja jest, grząska, tyle razy doświadczona, i nigdy chyba, do końca świata niezmieniona.

Przed tobą twardy fryz dwóch końskich łbów, przy dyszlu skiby dwuch bułanych zadów, poniżej ręki zwieszonej, żelazny łuk obręczy i stare szprychy drewniane, przez które leci piach. Leci piach, żelazo przebiegiem swym obmywa i jak

ty się spieszysz święcie, tak on piach, słusznie się nigdzie nie kwapi, niesiony bylegdzie, wiecznym przypadkiem świata...

A te wszystkie ruchy, uczynki i potarcia składają się na jeden głos utysku i dorady...

A ten głos niesie się po widoku pól, chałup, nieba i słońca, zaś jest tak przyrodzony, jakby to on właśnie skrzekiem swym utyskliwym żywił i karmił wszystko życie.

Z tego dobrego omdlenia wyrywał nas, raz po raz, na skrętach się ukazujący Adamów. Widać tam było w otoczy drzew wysokich, teraz w słońcu wieczornym, niby muszla szafirowa sklepionych, szczyt dworskiego dachu, poodal, z głębin gałęzi, strzelające do góry dwie ostre tubki wież kościoła. Tylko czekać, kiedy z glansowanych drzwi na czerwonych lampasach wyjdzie „Gott erhalte“ w złotej obroży, i tylko czekać, kiedy pod szmaragdowym żaglem strzyżonych drzew, płynąć pocznie za nami, głosząc ochrypłe, końskie słowa austrjackiego esperanto.

Ostatnie reszty dnia i światła włóczyły się po mętnych polach, gdyśmy stanęli w pobliżu niebezpiecznej szosy, po której płynął nieprzerwany ciąg wojsk.

Słychać było wyraźnie przemarsz wielkiej siły, dzwoniącej ciężkiem żelastwem.

Nasze dwa biedne wózki utknęły gdzieś pod mostkiem, który ledwo się jeszcze bielił w ciemnościach.

Milczeliśmy.

Piłsudski siedział w powozie, schylony, zadumany może nad tym płyciutkim polskim Rubikonem. Od czasu do czasu blask papierosa rozświecał jego twarz i wtedy ukazywała się, jakby niespodziewanie, objęta malutką łuną, wyczekująca tu posłusznie z całym losem wszystkich spraw na chłopski nocleg...

Nareszcie wrócili adjutanci z wiadomością, że miejsce znaleźli w samotnej chałupie, na uboczu od wsi i dróg leżącej.

Chłop się przestraszył, bo jeszcze nigdy takiego wojska nie widział, — żeby było polskie.

Nie można inaczej powiedzieć, jak tylko, że wszystkie nasze życzenia spełniał i na wszystko się zgadzał, jakby spełniał życzenia duchów...

Już noc stała za oknami, czarna i błyszcząca, już się w drzewach sadu i grzędach ogrodu spoczynek na dobre układał z szeptem gałęzi, gdyśmy zasiedli do kolacji. Było przytem mnóstwo biegania, coraz to chłop, to baba się zjawiali, usłużnie wypięci z jakąś miską, talerzem czy kubkiem.

Rozmowa szła nerwowo, jutro bowiem mieliśmy wjechać w rejon niemców a nie znaliśmy ich jeszcze, zatem nie wiedzieliśmy, jak ich zażywać wypadnie. Któryś z naszych kawalerzystów odgrażał się, że żywcem nie da się wziąć. Inni ze swej strony różne sposoby przytaczali. Wkońcu przerwał to Komendant twierdząc, że żadnych sposobów nie trzeba, on bowiem jest chory na serce.

— Mało panom? Czegóż chcecie więcej?.. Każdy przecież ma wkońcu prawo chorować... Już tyle razy w życiu musiałem to robić...

Przypominał dawne czasy więzienia w Peterburgu i te długie miesiące, kiedy pod obserwacją lekarzy, musiał obłęd udawać.

— Trzeba mieć tylko bardzo silną wolę, proszę panów...

I oto nagle, w niewiadomy sposób, w nieuchwytnej chwili, już mieliśmy przed sobą straszliwą grę... Potężna obecność tej twarzy rozkruszyła się w mgnieniu oka, na cały szereg uśmiechów, niezwiązanych... Światło spojrzenia bez-

przestrzenne się stało i szklane, giesty straciły wszelki ład... Każdemu nagłemu ruchowi jego rąk towarzyszyły teraz ciemne chmury much, z bzykiem uciekających po izbie...

Zaś między błyskiem a błyskiem, układało się to oblicze w kształt niewysłowionego bólu, — do jakichś odpoczynków, do jakichś nadziei prostych i dziecinnych...

Rrzeczywiście przez chwilę zdawać się mogło, że oto tu, w białej chałupie chłopskiej, po nocy, spadł mu z twarzy wszystek majestat wielkiego przeznaczenia, że się przez rygor posłannika przebił strudzony człowiek... I że oto w tej drodze bez wyjścia już prawie, rozgania czarne chmury much nieprzytomnemi dłońmi,—dziś,—wczoraj,—jutro... Może przez wiele dni, może przez wiele lat, oddawna, bardzo dawna,— miotający się po tej ziemi i wszystkich jej krańcach oberwanych, pokutujący tu w strzeleckiej kurcie, na brzegach obcej władzy, w tym kraju, gdzie cudza moc płynie drogą, a on, jak błędny ogień pełga ścieżkami bocznemi, po polach, po wertepach, od wsi do wsi, z chaty do chaty.:.

Wstaliśmy rychło świt i zaraz naprzód ruszyli, teraz już szosą, przez niemieckie panowanie.

Ziemia płynęła po obu stronach równo, lekko się ku górze za mgłami poranka podrywając. Szare powietrze zwolna dopiero drżeć poczynało od życia, w wysokościach swych umieszczonego.

Minęliśmy już pierwszą miejscowość, gdzie byli Niemcy... Już widzisz tu i tam bure kloce prusackie i ten ruch, po którym ich poznasz wszędzie, — twardy, stanowczy, mechaniczny...

Dziś dopiero widać, po całej drodze wczorajszej, że nas nie napróżno ułani przy wyjeździe orżneli... Jedno koło powozu Komendanta już bełkoce i dźwięk niedobrego luzu

ma w swym obrocie... Koń z drugiego pojazdu zakuty jest i kuleje coraz mocniej... Coraz przystajemy, choć tak bardzo zależy na pośpiechu... I stuka się po kole, mutry obluzowane palcami się wgniata, koniowi gładzi się pęcinę i dmucha się w strzałkę i obolałego gwoździa się dotyka, od którego kopyto zaraz skacze do góry,—jedziemy coraz wolniej i wolniej...

Aż nareszcie przed górką, na której zaczyna się las, koń przystaje i powiada,—że nie.

Więc stanęliśmy w połowie drogi, — o takie głupstwo.

Słońce się już przedziera przez czerwone pnie sosen, już iglaste gałęzie mienić się poczynają iskrami. Gdzież tu może być jakaś porada na tych polach rozległych, nad któremi się tylko słodko rozlegają w mgłach głosy skowronków?..

Szukamy, wypatrujemy... Wkońcu, na skłonie, obok tej górki, z której się na dół w dal wielki rozlewa las, dojrzeliśmy chłopa, orzącego dobrym, zmyślnym konikiem.

Jeden z naszych powiada,—niema co, trzeba wymienić.

Idziemy po bróździe do chłopka, zaczynamy od Boga i od szczęścia przy robocie, a potem pomału, pomału do interesu...

Chłopek kosmaty, że mu z dziurek od nosa i z uszu i z rozchylonej na piersiach koszuli włosy, jak rózgi strzelają, przygłuchy jeszcze do tego,—nic nie rozumie. Ty mu mówisz o koniu, on ci o mieście, ty mu o zamianie, on ci o urodzaju, ty mu, że jeszcze masz daleko, on o Ruskach, które odeszły...

Więc jest, jak przystało na jakąś polską biblję z wieczną przypowieścią , że tak w tem życiu będzie, a nie inaczej,— po wsze czasy... Będziesz jechał o losów rozstrzygnienie, najbliżsi ci twego nie doliczą, z koniecznego urwą, a potem na

sam ostatek przed chłopkiem, Cyrylu i Metody, w bróździe mokrej staniesz, po prośbie...

Dopiero kiedyśmy naszego wałacha, chociaż zakutego, odprzęgli i do targu przywiedli, gdy się konisko obejrzeć dało i w zęby i w tylną kichę i wszędzie, westchnął nasz Piast serdecznie... Jeszcze wzdycha, jeszcze krzyczy, niby od tej głuchoty, aż się po polach słowa, jak krzemienie obijają, — ale już swoją szkapę odprzęga, już się z nią żegna mocnym klepaniem, a także i w ten sposób, że jej czarnymi pazurami swych marchwianych palców złotą grzywę rozczesuje.

Nasz koń zakuty, ale wielki, siłacz, ułan,—a ta szkapina tyle, że na pierwsze dwa dni lepsza, bo niezakuta.

Takeśmy wymieniali i kupczyli ze starym chłopkiem, który w te pędy słuch odzyskał, gdy z nad górki i z nad sosen, w białym słońcu promieniejących, wychynęło nagle sześć wielkich, niemieckich samolotów.

Mknęły szybko z buczeniem dźwięcznem i wesołem, trzepiące się stalowymi obroty w złotych mgłach, tuż pod niebieskim jedwabiem błękitu. Niby pszczoły tęczowe mknęły ku wschodowi, nie popatrzywszy nawet na te nizkie kłopoty, jakim się oganiać musiał biedny Wódz polski, w pudle bez stopni, o jednym koniu, jadący do stolicy.

Dopiero na szosie bitej, dla wielkich ruchów przysposobionej, okazało się, jak słabe i wątłe są nasze siły, jak ubogimi rozporządzamy środkami... Coraz trzeba stawać rozluźnioną obręcz pobijać, teraz na chłopskiego konia krzyczeć i przemawiać, który się z wielkim ułanem nie dobrał i nadążyć mu nie mógł...

Trzęśliśmy się tak cały dzień we wstydzie i upokorzeniu, coraz częściej spotykając duże oddziały niemieckich wojsk. I tak widzisz z każdego kroku, że gdy u nas bieda,

tam bogactwo, gdy u nas ziarnko,—u nich, aż przesypuje się od nadmiaru...

Dnia tego, jeśli się nie mylę, 14-go sierpnia, przyjął nas na wieczór, położony wedle szosy dwór w Sulbinach, którego gospodarz generałem Komendanta nazywał i ze zdumieniem patrzył na stary konterfekt generała w buljonach z 1831 roku, — zdziwiony, że ten współczesny generał takich budynków na ramionach nie nosi.

Nazajutrz wyruszyliśmy znów o porze wymierzonej, aby przed wieczorem stanąć w Warszawie. Widać, że wjechaliśmy w orbitę marszu którejś armji niemieckiej... Od samego rana płynęło to wojsko żelazne drogami, lasami ścieżkami, polem, miedzą i każdym miejscem wolnym.

Od samego rana przez upalne promienie słońca waliły ciężkie artylerje... Od samego rana do południa i z każdą godziną coraz więcej rósł huk. Były chwile, kwadranse, w których zatrzymywać musieli krok ludzie i konie, a wszystkie koła warczących baterji milkły, bo oto od zachodu pędziły całe gromady, całe tłumy samochodów, z jazgotem przeraźliwym i z kurzem podniebnym.

A potem naprzemiany zalewała nas niemiecka jazda, ciężko pracująca na siodłach. Między lasami, na wskroś, płynęły ostre lasy biało-czarnych lanc, zaś po szosie olbrzymiej sypał się wciąż nieprzeliczony miał piechoty, która deptała ciężko, jak grad.

Albo znów obegnał ich wszystkich rozkaz, a wówczas, jakgdyby straszliwa moc tego państwa, co tych ludzi tu słało, leciał ryczący oddech i znów, rzekłbyś żelazne bloki, czy zręby, pędziły wielkie samochody układać się tam gdzieś, na końcu świata, w nieprzebity mur niemieckiego zwycięstwa...

Nam, żołnierzom, którzy się tytłać musieli koło austry-

jackiej biedy i łataniny i którzy się tylko z Rosjanami porali, — oczy chciały wychodzić na wierzch wobec widoku tej masy broni i żelaza.

Zaś naprzeciw tych bajecznych skarbów śmierci, tej grozy ludzkiej, stalą namaszczonej, naprzeciw tych głów setek tysięcy, które strojne w ostry szpic pikelhauby toczą się po ziemiach ogromnych ku wschodowi,—jedzie nasz Wódz,—dziadowina niejako... Dla niepoznaki, dla zamylenia, oparcie powozu wyłożone ma białą, łóżkową poduszką, na którą oto skłonił głowę,—łyka bezmiary kurz z pod nóg tej armji zwycięskiej i wodzi zimnemi oczami po tej potędze....

W połowie drogi musieliśmy znowu ze szosy zejść.

Powóz się prawie rozlatywał, chłopski konik cały animusz stracił, obręcz trzeba było z koła ściągać i na nowo nabijać. Zeszliśmy więc w głąb od drogi, ku jakiejś kuźni, opartej o szare, równe parkany wielkiego pańskiego folwarku.

Tu kowal stuka, miech fuczy, wielkie serce ognia ukazuje się w ciemnej czeluści, wytryska płomieniami i gaśnie, my zaś siedzimy na trawie, Komendant w środku i czekamy... A tam drogą, straszna potęga płynie i płynie, obłoki ją ciężkie unoszą, świat od niej drży, ziemie się od niej trzęsą i jej rytmami krew w skroniach huczy.

Mówiliśmy więc tu na murawie o armji i o tych armjach świata i o tym, jak się duch Narodu w swej broni przeglądnąć może, niby w lustrze i o tym, że my...

Wtedy nam przerwał Komendant i w krótce znalazł się w Jego słowach wszystek jego duch i wszystka krew i każde drgnienie całego życia... Spalona, pyłem i kurzem oblepiona twarz jęła lśnić potem serdecznego wysiłku, słowa się wyrywały z piersi mocne i dźwięczne, jak dźwięk tej kuźni pobliskiej....

Że marzył dać Polsce to, co takiem skostnieniem, takiem upokorzeniem ducha okupywać musiały przez setki lat inne narody... Żeby Polska, w tej wojnie, z niespodziewanym dla całego świata posagiem cudownym weszła między ludy Europy, prawo wywalczające... Żeby weszła między nie ze swą młodą armją, poczętą nie z rutyny, lecz z serca, z duszy Narodu...

Zaś ja zrozumiałem, że siedzi tu teraz Piłsudski, pod parkanami jakiegoś pałacu, przed biedną kuźnią graty swoje ubogie łatając, zlany potem, pyłem i ziemią oblepiony, jak nieśmiertelny jałmużnik swego Narodu...

I że nie będzie nigdy wielkim, kto u swego Narodu żebrać nie potrafi...

Już prawie nad wieczorem ruszyliśmy dalej. Słońce zachodziło, gdyśmy się w pobliżu Warszawy znaleźli.

Jechać nam wypadło przeciw morzu wojennego przepychu, w piekielnym huku lecących rzędami samochodów. Naprzeciw tej glorji stalowego zwycięstwa trząsł się mały wózek Piłsudskiego, jak straty grat, jak wystrzępiony śmieć... Właśnie na tym gracie starym bez stopni, przybywał do stolicy polskiej, wielki głos niezłomnego protestu...

OSTATNI POSTÓJ

Tak krzyczy człowiekowi w piersiach po nocy żal i zamęt niewysłowiony, — jak się nam przelewała gorycz i zgryzota, przez wszystkie słowa, ruchy, spojrzenia i uczynki... Bo stanęliśmy już, że ani w prawo, ani w lewo, nad brzegiem tego, co krajów niema, nad brzegiem samej rozpaczy...

Skrwawiliśmy się okrutnie wszystką krwią z najlepszych i najzdrowszych naszych żył przed Kowlem w zaciętej obronie, na moczarach i błotach wołyńskich.

A potem znowu znikąd nic,—nic...

Długi memorjał poszedł do A. O. K. przez Piłsudskiego zaczęty, a którego to papieru brygadjerzy nasi wzdrygali się podpisywać.

Było wiele jeżdżenia po nocy między pierwszą linją okopów, a wszystkiemi komendami, wiele żmudnej namowy, dużo czekania i mitręgi.

W trakcie tego przybyli z zachodniego frontu oficerowie niemieccy, specjaliści i w głębi cudnych, jesienią pachnących lasów wykładali o gazach trujących—o Blasverfahren, Schiessverfahren—czegośmy słuchać musieli, niby szczury sposobione do wytrucia...

Nareszcie brygadjerzy podpisali ten akt, to znaczy, że

albo się coś zrobi, i się Polskę postanowi, albo nasze wojsko pójdzie do domu.

A potem pewnego dnia Piłsudski siadł na bryczkę, zajechał tu i tam... Tu i tam w swych pułkach pogadał, za stołem, na łączce i srebrne sardynki poczęstunku ubogiego pojadłszy, uścisnął dłonie swym oficerom po raz ostatni...

Potem całą godzinę huczał gniewnie w kwaterze brygadjera Hallera, w Dubniakach, mroźnym wieczorem przy księżycu i już odjechał na dobre od swego wojska.

A wtedy myśmy wszyscy jednym głosem powiedzieli, że nie masz więcej żołnierza bez Ojczyzny... I stała się na tym froncie, od Rygi do morza Czarnego rozpiętym, rzecz nieoczekiwana... Oto kilka tysięcy głodomorów wzywa na świadka honor i sława przeciw sile, jakiej świat nie widział od czasów niepamiętnych.

Od tej siły dostawaliśmy wszakże i tę kromkę chleba i tę zupę codzień, i kawsko, i odzież, co na grzbiecie i tę broń, co w ręku... Wszystko, czego się tkniesz, to ci właśnie ona siła użycza ze skarbów swych nieprzebranych, a ty masz tylko to swoje tanie ciało za cały swój majątek i ten kawałek duszy, kołaczącej w piersiach zmarzniętych...

Podaliśmy się tysiącami do dymisji, składając owe podania na świstkach i na papierze listowym, wyłożywszy tam wszystko pismem prostem i niewyszukanem, a tak szczerze, jakby słowa w życiu służyły do prawdy wyrażania, a nigdy nie miały wyręczać fałszu, lub zbrodni...

I już nam było jedno, czy sobie jakiś feldwebel kradzione z tych ziem tłuszcze, będzie w papier naszych śmiertelnych cyrografów zawijał, czy też może będzie sobie w piecu tem palił, — bośmy działali bez żadnej ubocznej myśli, a tyl-

ko,—jakgdyby swemi jasnemi oczyma twarda Historja patrzyła prosto na ostatnie dnie legjonowego naszego żołnierstwa.

Dnie już były do końca niedalekiego policzone, a widać to było z przodu i z tyłu i ze wszystkich boków... Staliśmy nad rzeką Stawokiem, otoczeni przez Węgrów i czeskie brygady, przed nami na odcinkach Niemcy, a dalej w głębi, za Czechami, stały jeszcze cztery brygady turków.

Cóżeśmy wtedy wiedzieli, cóżeśmy słyszeli wtedy pod niebem ku zimie już nachylonem, zasianem ostremi gwiazdami, świecącemi w wielkich ciemnościach, przejęci wiatrem, który szedł z pól, omroczeni wielkim zapachem uwiądu tych lasów bezmiernych?...

Niceśmy nie wiedzieli, co się w kraju wyrabia i co kto mówi, i nic się nie liczyliśmy z tem, co się ułoży w domu, lub postanowi w kościstym dowództwie armji centralnych...

Przemawiał jeno do nas, jak ogień między nami chodził, płomieniem z miejsca na miejsce uczynek Piłsudskiego, że dłużej honor nie pozwala i lepiej rzucić wszystko...

Wtedy znów rozkazy przyszły mętne, że niby będzie powrót do kraju, czy też jakaś dalsza droga... Załadowali nas Austrjacy i wlokąc od miejsca do miejsca, i nic nie mówiąc, przewieźli do Baranowicz, Niemcom w podarunku...

Przybył tam człowiek za innymi pod sam wieczór. Wielka stacja, pożyłowana gęsto szynami, niby zamek żelazny, wyrwany z kutej bramy świata, między lasy potężne, oraz błota straszliwe rzucony...

Niemcy się powysypywali z wagonów, dziękczynnie spojrzeli na spocony brzuch lokomotywy i poszli, każdy z jakimś tekturowym pudłem z domu, swoją koleją.

Ty zaś jesteś Polak, nie możesz odrazu wiedzieć, gdzie

i którędy, bo ciebie jest tak mało, że łatwo cię przeoczyć. Obiecali ci też konie z twego pułku, ale nie dotrzymali.

Pokręciłem się więc po stacji w różne strony na darmo i wreszcie powoli za innymi wyszedłem drogą, która wśród wielu innych wydeptanych znaków sama prowadziła, starannie ułożona z desek i połatana kamieniami.

Na gościńcu wiatr się podbierał mocny i przez czarne błota, traktem poganiał ku nocy ciężkie sprzężaje wojenne.

A przez ludzi, wozy, konie, przez wszystko skacze oschła i chuda gotycka litera niemieckiego skrótu pułków, dywizyj i innych wszelkich wojskowych nazw. Tęsamą literę widzisz na słupach ostruganych. na sturęcznym drogowskazie, wszędzie,—niby hasło jakiegoś przedziwnego wyroku, przyniesionego aż tu między czarne błota i bure lasy,— z tak daleka...

Wyłożoną drogą szliśmy do: „Soldatenheimu".

Tu, w tych pokojach o tykającym pomiernie zegarze, gdzie łata goni ceratę, a cerata się kuma z szydelkową robotą, zasiadają niemieccy żołnierze, przybyli, czy to z Turyngji, czy z Bawarji tłustej, czy z zawziętych Prus. I tu znów mają tryb swego domu dosłownie urządzony... Na ścianach Hindenburgi mocno zakorkowane, po stołach skacze kratka taniego drelichu, a między stołami uwijają się wysokie płaskie siostry, — sanitarne Walkirje w dymie owsianej kawy...

Tak oto za mieczem niemieckim wszędzie kuśtyka sucha kądziel...

Z tego „heimu" ruszyłem przez mrok, długą szosą do Baranowicz, gdzie, w którymś czworoboku niezliczonych koszar miało stać gęsto upchane, zbuntowane wojsko legjonowe. Po jednej stronie domki spłoszone, kaprawe, po drugiej

ciemny las, a w jego piersi olbrzymiej wielkie przeciągi jesiennych głosów.

Tyle już razy szedł tak człowiek w tych czasach i tak dościgał swój oddział w najgorsze chwycone cęgi... Tyle już razy zalewał się potem i ramiona sobie przetrącał dźwiganiem ubogiego dobytku... Oto z brzękiem i furorem mijają cię wozy potężne, na wielkich kołach, lśniących jak ciemne gwiazdy, oto mocne, spasione konie dmuchają ci na kark ciepłem swej siły, oto ludzie szerocy, jak wielkie kufry jadą na kozłach wygodnych, — ty zaś, uwiązany do swego ciężaru, przemykasz prawie chyłkiem po tej samej drodze, a oczy końca jej nie widzą...

Tak wlokąc się i kwapiąc znalazłem się w gęstwie śpieszących przez szosę niemieckich słów, zdań, zwrotów... Zaś żadna mowa o zmroku nie dźwięczy, jak niemiecka, która zgrzyta i przydechem szeleści, jakby się człowiek posuwał w chmurze wron...

Wyszedłszy z zakrętu drogi spotkaliśmy pogrzeb, który się odbywał na skraju lasu. W świetle łuczywa widać było orszak hełmów sypiący się poprzez gęste pnie, zaś między hełmami płynęła trumna oblana złotym blaskiem. Za chwilę przystanęli wpośród krzyży i oto nagle, jakgdyby z tych hełmów błyszczących, z płaszczy kamiennych, z długich kosmyków łuczywa wyłupał się śpiew chropowaty, który twardym załomem poszedł przez lasy...

Umilkł. Wszystkie kaski zbiegły się w wianek połyskliwy, upleciony nad wykopanym dołem, a wtedy rzekłbyś z dołu tego, właśnie jęły lić w górę kraczące słowa przemowy.

Wiemy, że to się dzieje wszędzie, gdzie ci Niemcy idą i walczą, że tak samo niosą te trumny przez las tu, jak w Małej Azji, we Francji, w Rumunji, i nad Bałtykiem... Tak

samo szybko kraczą nad dołem i tak samo niby złote oczy jednej wielkiej zbrodni błyszczą cicho po lesie...

Nareszcie minąłem miasto, wchodząc w olbrzymi kontygent baraków. Zaraz tu swoich poznałem. Siedzieli za szybami okiennemi przy wątłym świetle, całe pęki krótko strzyżonych, młodocianych głów, schyleni nad pisaniną, czy nad poprawą rynsztunku. Tu się dowiedziałem, że stoimy w barakach, w których przedtym więzione były zbuntowane dywizje bawarskie.

Od izby do izby w poszukiwaniu mego bataljonu...

Tu się też dowiedziałem, że ze swego nasi nie ustąpili.. Generałowie do nich przychodzą namawiają, radzą, rajfurzą,— a żołnierz nic, tylko zrazu słucha a potem nagle wrzaskiem potężnym wystrzela, że aż się mury trzęsą i wrzeszczy—: Niech żyje Józef Piłsudski!!...

Bo co? Przytaknie generał, „że niech żyje“, to czemu Piłsudskiego tu niema?...

Nie zgodzi się, woli żeby Piłsudski nie żył, to jakim czołem i do czego nas namawia?...

Wszędzie ci nasi żołnierze pełzający po narach, skuleni, zmęczeni, senni. Jakby się to wszystko po ostatnim wysiłku układało na sen coraz mniejsze, pomięte, pokurczone, prawie tyle miejsca zajmujące co plecak.

Gdzieś jeszcze w czwartym pułku uczta się przydarzyła na cześć Piłsudskiego i Rosji, jedynego z brygadjerów, który kroku w tym buncie dotrzymał.

Więc okrutne śpiewy i trąby orkiestry pułkowej jerychońskie, i zdrowia, w których człowiek wszystkie flaki z siebie wywrzaskuje, a potem długie chodzenie do księżyca pod rękę z przyjacielem, a z wielkim bólem wszystkich marzeń stłumionych w piersiach... Z oczyma w blask łagodnego świat-

ła utkwionymi, z sercem porażonym nagłą, oschłą wiadomością, że się major Fleszar zabił w szpitalu niemieckim w Słonimiu...

Nasz dowódca VI bataljonu I-ej Brygady.

Zdaleka od stacji donosił się aż tu ciężki głos zderzających się wagonów, głos twardy rzekłbyś, jakichś pięści zwieranie szerokich i żelaznych. Po przez ciche powietrze po przez deszcz kropel ściekających na rozmaite przemiany w nieprzebraną ciszę lasów... Po przez lasy, które tak lekko oddychają teraz zimnym powietrzem wieczności... Po przez białe łaty pierwszych śniegów, mięknących w rowie, tak szybko i na zawsze, — zrywał się ten metaliczny trzask zderzenia, jakby to dłonie jakoweś straszliwe zacierały się złowrogo...

Bo czyż istotnie nie byliśmy wówczas, niby liliputy zsypane w dłoń potwora?...

Lecz nikt się nad tym nie zastanawiał. Snuliśmy wiadomości, które się tu do nas przedarły, że tam w kraju robi się Polskę, że tapetowane elektrycznymi guzikami, że obwieszone rurką telefonu wszechwładne komendy ocknęły się nagle i przemówiły i że je do tego przynaglił nasz krok szalony, to jest ten, gdyśmy krwawe łachmany mundurów na szalę rzucili...

Lecz znów i te myśli rozpędzał nam krwawy czyn Fleszara...

Dlaczegóż zginął major na samym progu nowych i lepszych już może czasów?!...

Jakieś w tym było natchnienie niepojęte, jakiś polot bolesny, jakaś niecierpliwość najszlachetniejsza... Jakgdyby ten chory sok, który się w nas wszystkich zbierał, — zawarł pan major Fleszar wszystek w swej piersi i jakby ta fala

piołunu cała w nim jednym zebrana,—porwała wszystkie tamy ciała i duszy jego...

Bo chociaż się to straszne wydać może, lecz należy powiedzieć, jak było... A mianowicie, że jakby nas wszystkich Fleszar w tym czasie śmiercią swą z nie naszych, a jednak wielkich i na nas złożonych przewin obmył i wyzwolił...

Więc chodziliśmy długo po nocy, nie wiedząc gdzie i którym sposobem przez tę poświatę pierwszej zimy, przez mgły spłoszone i mrozu białe oddechy,—wdzięczność naszą za tym duchem wysyłać...

II.

Jeszcześmy się nie otrzęśli z tego święta w czwartym pułku, jeszcze się niejeden pomiędzy barakami włóczył przymierzając się do tych, lub tamtych drzwi nadaremnie, gdy się nagle zakołysały i wzburzyły wszystkie nasze dowództwa...

Z komendy Legjonów gruchnął fonogram, że już, zaraz, pułkownicy się meldują, zbierają i do Warszawy jadą, bo się tam Polska zrobiła...

Polska prawdziwa, po świecie głośnymi depeszami telegrafowana...

Zaiste z każdego z nas spada gruby lód, chyba drzewami jesteśmy, z których nagle, za wymówieniem jednego słowa, tryskają całe rózgi nowych pędów strzelistych!!...

Polska, którejśmy głosem młodości przysięgli pod Oleandrami, którąśmy głosem udręczenia pozdrawiali w tylu bitwach... Która się później w zmiennych kolejach wojny niedościgłym dymem okryła... Którą nam co dwa miesiące obiecywał N. K. N... A myśmy odpowiadali, że nam ją przywiezie na austrjackiej podwodzie, z wędzonym boczkiem i z cykorją.

Czyśmy się cieszyli? Jeżeliby słowa mogły mieć skrzydła, lub barwę, lub dźwięk...

Wprost przeciwnie, bodajże staraliśmy się nie mówić...

Teraz już, gdy jest nareszcie wyzwolona niech sobie buja wolność naszej Ojczyzny i niech się za nami nie ogląda, którzyśmy gotowi siedzieć gdziebądź na skrawku miejsca, za wszystkimi obrębami uchwały i ceremońji, chociażby tu w tym srogim więzieniu...

Dobrze, nawet że nas ciężkie trzymają dyby... Tem większa poręka...

Bo doświadczenie uczy i zawsze się tak działo, że nie ten zbiera, kto sieje...

Nie zbierajmy!...

Z pustemi odchodźmy rękoma, by się jeszcze lepiej potwierdzić mogło, żeśmy się trudzili, siali i że wschodzi nasza robota...

My we dwóch też... Ja z moim młodszym bratem poszliśmy osobno pod rękę, drewnianym chodnikiem baranowickiej ulicy, aby uczcić ten dzień, do najlepszej „renomowanej" kawiarni.

Mieściła się ona u żyda, w nędznym murowanym domku, otoczonym kupami śmieci i nawozu. Zajęliśmy tam na nasz podwieczorek spleśniały salon z czerwonymi meblami, z niebieską tubą gramofonu w kącie i z rozkraczonym jeleniem, w złotych ramach przez jegrów zabijanym na ścianie.

W wilgotnym pokoju, przy blasku świec, nad szklankami herbaty, jedząc osobliwe ciastka z drzewnej kory, — pęcznieliśmy od szczęścia...

Wszystkie słowa najgłupsze nabierały donośnego znaczenia przypowieści... Mięszało się nam od wspomnień wojennych, kipiała pamięć teraz nagle do dna otwarta, aż do najdawniejszych, domowych czasów...

Jedne i drugie, wojenne i rodzinne, leciały razem w mrok przez kupę śmieci, przez ludzi i przez lasy i przez całą na-

szą dolę ku temu białemu brzegowi szczęścia, z którego zaczyna się i do którego wraca wszystko... Ku białemu brzegowi kaftana naszej matki...

Jakże to dawno już oderwaliśmy się od niego, od złotych kłosów na białej haftowanych pole i oto gdzieśmy przyszli? W te lasy i rozłogi, gdzie odpoczywamy przy mętnym świetle, wonią koni i żelawstwa przejęci, głodni i brudni, jak parobcy,—a tak szczęśliwi...

Ale radość nasza była, że się tak wyrażę prywatna. Nikt się od żołnierza pierwszej brygady nie doczekał wesołego hałasu przed oknem obleśnych sprzymierzeńców...

Trzeba wiernie powiedzieć, że pułkownik Śmigły nie pojechał na festyny do Warszawy i że trzymał, jak nikt wtedy w całym naszym wojsku, tę linję zamkniętej obrazy, którą nam ze względu na nasze dymisje obrać należało.

Pułkownik Śmigły pamiętał w pierwszym rzędzie, że należy pochować towarzysza broni, jak przystało i jak niosła najlepsza nasza tradycja...

To też w dzień piątego listopada, gdy się miały w Warszawie te hałasy tryumfalne wyczyniać, myśmy w licznych delegacjach pojechali z Baranowicz do Słonimia na pogrzeb. Był mroźny, jasny dzień. Słońce się cięło przez mgły, wielkimi promieniami, rozświecając w daleki krąg pierwsze śniegi i szrony.

Od stacji szliśmy szybkim krokiem ku samemu miastu które leży na górkach i szkarpach, dosyć poturbowane przez ostatnie bitwy.

Gdyśmy weszli w ulicę jęła się ludność przy nas gromadzić i biegać za nami tak łapczywie, jak biedni zgłodniali ludzie, w złych czasach biegają za wozami z świeżym pieczywem...

Tyle w tym było pożądania i łapczywej tęsknoty...

Równocześnie zaś byli spłoszeni... Przychodzili do nas, jakoby z boku, niechcący... Ale, gdy już do ciebie przystanie, gdy się do ciebie przyśsie taki kresowiec, to już się nie odczepi, tylko gada tą polsko-litewską kluseczką i tłómaczy z głębi swej duszy obolałej...

Kadzidełko zabobonnego zachwytu,—troski z przed stu lat, i jakaś mądrość przepłoszonej kuropatwy...

Nie mieliśmy jednak na to czasu, bo pogrzeb miał wyruszyć o drugiej, — trzeba było zjeść jeszcze. Tymczasem Słonimianie nas nie puszczali, owi mężowie w płaszczach sztywnych, jak z papy, owe damy dziwną modą rozpukłe,—z kogutkiem na bocheneczku kapeluszy... Ze wszystkich stron przychodzili ze skargą na tę wielką żałobę, która miasto spotkała... Że tu właśnie umarł wielki i dzielny oficer legjonowy. Nigdy nie przypuszczali, skądżeby mogli myśleć, żeby nasze wojsko w boju udział brało, lub, żeby umierać musiało... Każdy z nich, gdyby był niemieckim dowódcą, toby przecież te polskie oddziały w odwodzie trzymał a nie do ordynarnej walki posyłał, jak pierwszych lepszych sołdatów...

O godzinie drugiej byliśmy na miejscu, w równym czworoboku murowanych koszar, przemienionych na niemiecki szpital.

Na dole pod szklanym wejrzeniem równych rzędów okien, niby kawałek nocy w pośrodku białego dnia, stał kirem obity karawan. Z całego gmachu właśnie na oznaczoną godzinę schodziła ku niemu załoga tego domu. Blado niebieskie siostry, podobne do ryb błękitnych, o kwefach, jak skrzela odginających się od szyi, oraz urzędnicy i oficerowie niemieccy, ze złotymi guzikami, niby oczy, pozierającemi ostro naprzód z wypiętych brzuchów sukiennych...

Myśmy już stali przed pojazdem,—szara razowa zacierka legjonowa... W głębi za bramą szpitalną, na ulicy, oczekiwał cichy, spłoszony, żałosny tumult ludności.

Właściwie nikt nie wiedział, jak i dlaczego zmarło się tutaj majorowi Fleszarowi?...

Pamiętaliśmy wszyscy, że w ostatnich czasach, gdy trzeba było ten ciężki bunt urządzać, łamało się w zmarłym sumienie,—pomiędzy dobrym polakiem a sprawiedliwym żołnierzem... Oraz, że w tych oczekiwaniach, w tych ciągotach strasznych, pomiędzy prawem, a słusznością, wyrzucał losom i wymawiał całą niewolę i wszystkie nasze krzywdy... Że go oblewał war krwi, to znów mrozy trzymały i trzęsły, prawdziwie, — nie z ciała pochodzące, a z ducha...

Jacyś blizcy, jacyś ordynansi, czy siostry mówili, że go ta burza i tu nie opuściła...

Podobno miotał się w tym szpitalu straszliwie, płową swą głową bił o szare kamienie sali... Podobno rwał na sobie wszystkie odznaki, a twarz jego spokojną i zacną ciągłe cierpienie wykrzywiało. Z wielkim zdumieniem przypatrzywszy się temu, wygalonowani doktorzy przenieśli go do osobnej izby.

Żołnierze znów opowiadali, że pytał wciąż tych niemców, czy już jest Polska i że klął straszliwie... I że oto on właśnie, w umyśle swoim tak kochający, a tak wzburzony, nie mogąc się odpowiedzi doczekać, ani od siebie, ani od ludzi, ani od świata,—nożem sobie piersi podarł i powietrze się dostało do żył...

Żaden zabieg pomóc już nie mógł...

I od tego major Fleszar zmarł, gdyż sam powłokę swą ziemską otworzył woli żywiołów, nim świat zdążył i potrafił powietrzem wolności otoczyć majora Ojczyznę...

Wiedzieliśmy, że tak postąpił jeden z najlepszych pomiędzy nami, młodzian uczony, zacny, mężny,—pełne słowo, zebrane ze wszystkich dźwięków i znaków któremi żył nasz czas.

Dlatego, kiedy z odgłosem polskiej komendy żołnierze VI bataljonu trumnę na podwórzec wynieśli, zdało się nam, że to dusza naszego pokolenia Legjonów w trumnie, biało-czerwonym błamem krytej, położona jest na wóz, a i to jeszcze przecie pod niemiecką wartą, odjeżdża traktem ostatnim...

Szliśmy długo przez miasto, z wielką muzyką, gęstym zbrojnym tłumem gdyż,—za katafalkiem postępowały trzy delegacje oficerskie, nasza, niemiecka i austrjacka.

Trudno było doprawdy odmierzyć dziwną i tak osobliwie upatrzoną równowagę tej chwili...

Oto maszerujemy przez śniegi, pod jasnym błękitem listopada, tam, w Warszawie uroczystość wystrzela z Królewskiego Zamku i honoratiory, i pułkowniki polskie, i pewno uczta, i zgiełk, a równocześnie tu uparte wojsko Piłsudskiego najlepszą swą wiosnę grzebie w ukochanym koledze, żadnego szczęścia przed sobą nie widząc... Podczas, gdy reszta wodzów, w głodnym czworoboku piechoty, świętuje między baranowickimi koszarami nowe narodziny Polski i słucha natchnionych mów pruskiego generała oraz brygadjera Hallera.—

Wydrapaliśmy się nareszcie pod górę, ku cmentarzowi z wielkim wstydem, że razem z niemcami idziemy, podczas gdy ludności cywilnej z nami nie wolno... Tylko tak się musi ta ludność katulać po bruździe, damy i panowie, szkółki męskie i żeńskie, długiemi parami gąsiąt prowadzone przez księży i szara biedota dziecinna, żebracza, której wszędzie mnóstwo, gdzie mieszkają polacy...

Już słońce prawie zachodziło, gdyśmy na górze zwłoki majora Fleszara pod wielkiemi topolami złożyli i odeszli zostawiwszy na mogile garstkę bosych dzieci, które drepcąc z nogi na nogę sylabizowały polskie napisy naszych żałobnych wstęg.

Lecz prawdziwe słowo i rozkaz i wiadomość o Polsce nie były nam zbuntowanym żołnierzom ogłoszone piątego listopada i nie powiedziały nam tego żadne telegramy przez cesarzów podpisane, lecz list Piłsudskiego na ręce Śmigłego do nas...

Zebraliśmy się przed południem, cały pułk, aby wysłuchać. Miało się to odbyć w paradzie, ale niech nam nikt paradą głowy nie zawraca, gdy idzie o rzeczy poważne...

Więceśmy złamali całą paradę, czworobok się wkląkł, że sam nie wiedział kiedy i z całego pułku naszej piechoty zrobił się gruby szaniec.

List był o tym, że nam Komendant dziękuje, żeśmy wiele dokonali, że jednak teraz, chociaż jego nie będzie, gdy ojczyzna powstaje, mamy wrócić do pułków, najsurowszą dyscyplinę biorąc sobie za wzór.

Trudno powiedzieć, żeby nas list Komendanta nadto ucieszył. Było nam żal, że nas Piłsudski dalej nie prowadzi i nie mogliśmy zrozumieć, jak się to ma dziać, że dla nas wszystkich jest miejsce w tej powstającej Polsce, a dla niego jednego tego miejsca tam brakuje...

III.

Minęły jeszcze dwa, trzy dni i już zaczęła komenda Legjonów sypać rozkazami do odmarszu.

Wiedzieliśmy już, że wracamy do Polski, że nareszcie tam staniemy załogą po dwóch latach wojny. Zaczęły się teraz szachry straszliwe, bo skoro się związki brygad rozluźnić miały na miejsca postoju poszczególnych pułków, trzeba było i każdy pułk musiał udzierać i rwać ze swej strony, ile się tylko dało... Zaś ze względu na oddawanie majątku austrjackiego i konieczne wyrównanie rachunków wielki powstał ambaras...

Jakże tu w dwa, trzy dni wygładzić przebrane dawno mięso, jakże tu wyliczyć się z zapasu porcji żelaznych, zjedzonych dawno temu ileż razy, jakże wybrnąć z tego, z czego nikt na ziemi ani na niebie najpotężniejszy, nigdy nie wybrnął,—a mianowicie z rozdziału koni pomiędzy wojskiem polskim?...

Zaczął się więc garus i płacz niebywały i ciąganie dobytku na wsze strony i żałosne wodzenie koni z kwatery na kwaterę... Zaś wodą osiedziałości nalani rachmistrze taskali się z komendy do komendy, pożerając całe stosy smalcem i liczbami poplamionego papieru...

Ja się mogłem z tego szczęśliwie wywinąć, zaproszony w delegacji na uroczystość do I-go pułku ułanów.

Wyruszyliśmy koło południa, z oficerami kawalerji, w nadzieji, że jak konie dobrze pociągną, to na wieczór staniemy u celu w Iwanowicach, gdzie leżeli na wypoczynku ułani.

Wkrótce minęliśmy srogie urządzenia wojenne Niemców i całą wieżę babelską wszystkich urządzeń towarowych, domów z owsem, gór mięsa piramid kaszy, krup i amunicji.

Zaczął pomykać z obu stron drogi kraj luźniejszy, bardziej do samego siebie i do spokojnej ludzkiej pracy podobny. Wzgórza falujące i jak węzeł szarego powroza, rozwiązany pośród nich splot leniwych ścieżek i dróg. Trochę pola, trochę ugoru, skrawki szmaragdowych strzępów oziminy a potem znów całe jary nieurodzaju, splątanych cierni i głogów... Chaty niskie, cudem niepojętym od wieków na własnej słabości wsparte, zaś około nich pokruszona wszędzie uboga codzienność... Z kijów plecione przełazy, które czegóż chronią i cóż grodzą swym gładkim piszczelem?.. Drzewa samotne, które kogoż czekają z cieniem swym rozcieńczonym, gdy nikt pod nimi nie mija?..

Oficer mi powiada, że jedziemy przecie krajem Mickiewicza, że tu zaraz niedaleko jest Nowogródek, miasto a znowu indziej w sąsiedztwie Świteź, jezioro... I że ich, naszych kawalerzystów Mickiewicz „zbujał", bo cała ta Świteź jest takim samym jeziorem, jak każde inne... Ale, że temniemniej na rachunek Mickiewicza wjechali do wody, koniom po brzuchy, lecz mimo to nic się osobliwego nie okazało...

Zaś gdym sobie uzmysłowił, że istotnie przecież jedziemy ziemią Mickiewicza, jakby coś tchnęło mi przez oczy i już na wszystkiem, na co spojrzę, leżą słowa tych wierszy nieza-

pomnianych przez najdłuższe lata... I we wszystkiem, co z jednego w drugie przechodzi, gdzie się łączy nikły szum pól z mocnym głosem lasu, i gdzie się ziema z powietrzem styka i na wszystkich granicach horyzontu i wszędzie, gdzie się drogi gubią, czy zaczynają, — wszędzie się już plecie i powtarza ten rytm...

Z naszej drogi wydobyliśmy się na trakt, który był właśnie starym traktem Napoleońskim Wielkiej Armji...

Zsiedliśmy z bryki i aby uczcić starych żołnierzy, co się tędy wlekli ongiś, poszliśmy spory kawał piechotą, raz po raz przystając... Obzieraliśmy się na wszystkie strony, aby wziąć w siebie trochę tego miejsca owych trudów i znojów, sławnych w przebiegu świata.

Szeroka na ziemi, ogromna w Historji droga niesie się wśród ścieżek pól i pagórków. Gruda się tu ściele rozdeptana i jak wszędzie kruszą ją wciąż zwyczajne stopy przechodnia... W rowie przydrożnym, jak wszędzie, do reszty gnije zbutwiały liść, a zeschła gałąź włóczy się między drzewami zwyczajną swą koleją... Pod tysiącem bruzd taji się przyrodzonych tysiąc strzępków cienia i czegóżby szukać w koleinie kół, tak splątanej i tak codziennej?..

Dopiero gdy noc zeszła, gdy trakt oprzędły długie smugi wichru a wierzby stuletnie do ptaków się stały podobne olbrzymich, w blasku księżyca piórami szeleszczących,—zdać się mogło, iż jest to zaprawdę miejsce wielkiego spotkania, którego strzegą przeogromne puhacze, rozsiadłe na brzegach przeznaczenia...

Zajechaliśmy na folwark Beliny późnym wieczorem. W miłej gościnie strawiliśmy czas na siedzeniu przy ogniu i na gadaniu o wszystkiem, co się żołnierzowi przez głowę przewija, gdy późny płomień trzaska na kominie a sławę się uciułało

małą przebywszy wielki trud i przyszłość się ma w zanadrzu niewiadomą, Wodza w niepewności zostawiając...

Na drugi dzień mszę się odprawiło przy ołtarzu polowym, umieszczonym w okopie. Było czytanie ostatniego rozkazu przed wymarszem do kraju, po dwuch latach legjonowej wojny, była rewja tego pułku, zbieranego przez tyle bitw z takim trudem, wreszcie z szarakami z zaścianków gorące bratanie.

Tuś dopiero widział, jak się Polska po tych kresach rozsiała... I jak się trzyma zębami szaraczka na strzępach posiadłości... Tuś dopiero widział, co to jest uczucie... Gdy frant dostały, w długiej jaskułce, gołąbkowych portkach, pikowej kamizeli, w krawacie z jedwabnego seledynu, słowa do rzeczy skleić nie mogąc,—ręce ci będzie podawać na prawo lewo, okrakiem i patelnią, za naszych sto lat, — rozumisz pan, za naszych sto lat...

A inni przyjdą i aż z pięt zleżyny flegmy rodowej ściągając, gdy cię zagabną od strony polityki, że my tak, a on tamtędy, zaś ty rób, to dopiero poznasz rozum stanu...

Zagarnęliśmy to wszystko razem, z paniami wiecznie spłoszonemi, na bryki, na powozy i kawalkadą ruszyliśmy do wsi między chałupy, szczerym szmaragdem mchów obrosłe, do tego w obejścia, które bucha dymem głośnych smalców od rana, i gdzie przy piecu potwornym ułani w czerwonych rabatach, jak djabli, smażą ucztę, smoląc, pieprząc i soląc.

A na tej uczcie, gdy ci zimno stopy mroziło, zaś przez pół gorąc obejmował, zaś za gardło dym papierosów chwytał, — dopieroś Polski zaświadczył, zwłaszcza, gdy na dobitek wszystkich dobitków stary polonus się podniósł i bło-

gosławiącym głosem wydobył z siebie wiersz, wobec tej obcej potęgi, po nocach bezsennych układany...

I płynęły łzy dostojnie przysposobione, i ciepłe serce miałeś na dłoni wszystkie świętości niedoli.

I gdy w końcu oczyma potoczywszy z samego zda się płaczu zrobionymi, wyrżnął się polonus w starą, pustą pierś suchymi, niby grabie rękoma, oraz zawołał — : Ja panowie, pana Piłsudskiego nie znam, ale myśmy słyszeli, ale my wiemy co to jest Sybir, ale my was widzimy, waszą biedę i krew....

Tuś dopiero moresu nabierał, gdy wszystkie żubry na raz płakały, a orkiestra ułańska w tkliwości ostatecznej darła się piekielnie ze wszystkich trąb...

Więc co?...

Więc ze szlagonami wysypaliśmy się na wieś i lud hołubili, głodnym dzieciom, w cienkich spódniczkach dając torty, kanapki, kawior i papierosy.

Więc co?...

Więc potem się gdzieś galopem pędziło, na cześć starego kresowego płaksy, który się w tej okazji całkiem już przy stole obluzował i płakał wielką mowę cztery godziny, podczas, gdy my z wielkiego entuzjazmu przez płoty i rowy skakaliśmy.

Więc co?...

Więcby się jeszcze tak długo jeździło i żegnało, i wodom Świtezi wymyślało, gdy oto nagle syknął z komendy Legjonów rozkaz, że Jego Królewska mość król Leopold Bawarski, dowódca wojsk, przed oddaniem z frontu Legjonów chce oglądnąć tę przyszłą polską siłę zbrojną...

Nikt tej defilady nie chciał, bo ludzie butów nie mieli, a mrozy szły w tych lasach baranowickich i pluchy coraz gorsze, i wiatry ostre, bardziej na żołnierza zawzięte, niż psy...

Ale spróbuj nie chcieć, gdy musisz!..

Tam sobie na górze odmierzyli, ramki rozstawili, a tyś jest co? Tyś jest szara masa, tyś jest klej, kit, czy ołów, który się musi wlać w te ramki.

Na sam dzień oznaczony pogoda się ustaliła tak straszna, że serca najostrzejszych dyscyplinników się pościskały. Śnieg szedł obfity, kratką, to w prawo to w lewo, potem jeszcze trochę warjował w różne strony, nawet pod górę padając, aby się w końcu poziomą fastrygą wyciągnąć między niebem i ziemią bez żadnego wyczerpania.

Wołajże tu, komenderuj, gdy głos nie niesie, obok ciebie zaraz pada, na trzy kroki nie odleciawszy.

Wyszliśmy z naszych nor i schowków wszystkich, w pełnym rynsztunku i obciążeni, zaczęliśmy ciągnąć pod górę, ku tej stronie, gdzie w podległym czworoboku lasów rozciąga się olbrzymi plac ćwiczeń. Pułki nie powychodziły na swe miejsca, bo się wszelkie ślady w śniegu pogubiły, a mgła wilgotna legła na wszystkim, tracąc do niepoznaki wszelkie zakroje lasów.

Tedy z jednego ustawienia w drugie, z wielkim mozołem przez kępy ślizkie, przez wody, przez lód rozdrobiony, ostry, jak szkło...

Adjutanty gonią na koniach, podobne słupom śniegu, gdzieś z daleka pokazuje się wysoki mur kawalerji, a z ponad kasków wieje im ku górze kryzą niesamowitą dech szronu...

Pułki błądzą, przewalają tędy i sięd, łączą i rozłączają, nareszcie się to wszystko jakoś utrwaliło między pogonią wichru ze szronem—i stoi...

Zaś biała śniegu fastryga pędzi niewstrzymanie, zaś mgła gospodaruje, zasłania, kryje, odsłania, że w końcu nie-

wiadomo co ludzie, a co las, co sztywne masy pułków, a co rude połacie ośnieżonego zagajnika...

Adjutanty się wyciągnęły, będą znaczyć drogę defilady. Stoją w srebrnych szamerunkach, w wielkich kołpakach futrzanych z sławnego Totenkopfhuzaren regimentu...

Nareszcie trąbka jakaś, gdzieś pisła, przez wielką ćmę, jedna, druga dziesiąta... Coś tam w szanownej oddali jęknęło, chrupło i zakaszlało... W białej mgle węzełek sztabu ściągnął się, zsupłał i znów rozpókł na kilka czarnych grupek...

Ktoś komuś dał wreszcie znak, futrzane czapy adjutantów stanęły nagle nieruchomo, — orkiestra w zamarznięte trąby dmie,—głos się jak może, przez fastrygi śniegu ze złotych blach wymuszą—i oto już idziemy...

Świata nie widać, śnieg szybki sypie, idziemy zamarznięci, — wichura drzewa mierzwi, suniemy sztywni, sini, oczy szronem zabite, twarze wiatrem zsiekane, powieki prawie zamknięte, — nogi machają wysoko, — lód dzwoni, jak bite szkło, — trąba dmie, wicher dołem polatuje, — lasy się w zawiei pogubiły...

Przeszedł pułk jeden, drugi, — poły płaszczów przed rzędy ze chrzęstem się wydzierają, — ręka pod sznur wywija i wyrzuca,—z pod bosej pięty piechura leci gruda zmieszana, już strugę ciemną, już ziemiste koryto wydeptali... Błoto pryska na srebrne szamerunki, na orły czarne, na haftowane trupie główki, na twarze junkierskie bliznami znaczone, na dołmany, — adjutanty, stoją nieruchome śmiertelnie, — jego królewska wysokość salutuje, — my zaś idziemy pasem rozrobionej ziemi,—orkiestra dmucha w zamarzniętą blachę,— z oczu nam łzami płynie mróz, — lasy się z śniegiem gonią po brzegach widnokręgu...

Suniemy wskroś wezbranych wichrów zimy, chlapiąc błotem na boki, na adjutantów, na sztab i w lice królewskiej wysokości,—sztywni, szarzy, chrzęszczący,—niby suchy, uśnięty las...

* * *

Teraz już jestem gdzieindziej... Stoję na moście, nad polską rzeką rozlaną, ludzie nam tu śpiewają nasze strzeleckie piosenki, naprzeciw białe błonia, z boku miasto stare, zaś dołem, po czarnej wodzie płyną wielkie, zielone kry w zwiewnych wieńcach ze śniegu...

CO KOMENDANT POWIEDZIAŁ DZIECIOM NA GWIAZDKĘ, KIEDY CZYTAŁ GAZETĘ

Mógłbym wam opowiedzieć o mojej gwiazdce w domu... Jak wzdychaliśmy do tego miejsca posadzki, na którym miał Aniołek postawić drzewko, jak do tego kawałka podłogi składaliśmy prosząco ręce... Jak nasza stara Filipina ucierała mak w ogromnej dzieży i jak się robiło czekoladowe masło, a stary woziwoda, co nam wodę przynosił z pod kościoła świętego Wojciecha, — bo ja mieszkałem w Krakowie, — wzdychał i tabaka mu z nosa kapała na siwą brodę... O tym, jak drzewka stały pod Sukiennicami na Rynku, niby lasek sosnowy, że można było między nimi zabłądzić...

A kiedy już wszystko było gotowe, ojciec mój łamał się opłatkiem, — z moją matką, potem oboje z nami i ze służącym Piotrem i z Filipiną, która miała jeden ząb wystający i z naszą niańką Julcią, która na ten dzień była w gorsecie i w szumiących spódnicach.

A potem, kiedy się wilja kończyła, rozlegał się nagle dzwonek, na głos którego zrywaliśmy się z radością, — najprędzej na całym świecie...

Na najmądrzejszym kawałku podłogi w salonie stało zaświecone drzewko. Żeby podziękować aniołkowi mówiliśmy „Ojczenasz". Tatko był zawsze tym drzewkiem bardzo zdzi-

wiony, a mama śmiała się cicho, płacząc malutkimi łzami na kwiaty swej sukni.

Ale o domowej gwiazdce może wam każdy opowiedzieć. A ja chciałbym opowiedzieć coś takiego, czego nikt inny nie może i czego nikt inny nie wie...

Myślałem dwa dni o tem i nagle wiem... Pójdę do kogoś takiego, który jest najmądrzejszy ze wszystkich, a oprócz tego był dzieckiem kresowym i wszystko o kresach wie najlepiej... Pójdę prosto do Komendanta Piłsudskiego, do Naczelnika naszego Państwa...

Straszna zuchwałość...

Ale poszedłem.

Idę sobie, jakby nigdy nic... Tu tramwaj, burczy tam samochód leci, nikt nie wie, że taki ja, idzie sobie ni stąd ni zowąd do Belwederu, gdzie mieszka Naczelnik.

Najprzód jest rząd balasków. Późno już było, księżyc świecił, balaski się cieniem na śniegu położyły. Przy bramie warta stoi. A żołnierze tak tu wyglądają wciąż, jak na jednym obrazku, który jest często w starym albumie, — że to podchorążowie z roku 1830. I tak samo, jak na obrazku, po karabinach księżyc się ślizga.

Wszedłem na pokoje. W jednym nic,—za to w drugiem adjutanci siedzą ną kanapie, ułani w czerwonych rabatach, całkiem jak lalki za szybą...

Jeden oficer pyta się po co i gdzie ja chcę iść.

Mówię mu poco: żeby Komendant powiedział coś do dzieci kresowych, bo idzie gwiazdka.

— Komendant niema czasu,—powiada ułan, i machnął głową w stronę kominka.

Tego kominka nie zauważyłem w pierwszej chwili. Tymczasem był w bocznej ścianie. Dogasało na nim wielkie

bierwiono, po którym, niby krople złotego deszczu, skakały iskry. Naprzeciw ognia, w dwuch dużych fotelach, siedziało dwuch panów.

— Panowie posłowie czekają — burknął ułan.

A posłowie spojrzeli na mnie ważnemi oczyma, aż im się podbródki zmarszczyły na kołnierzykach. Obaj byli w ciemnych ubraniach i palce rąk spletli, jak ksiądz, kiedy biada nad czymś.

Po chwili słyszę,—tup, tup, tup...

Zbiega z góry oficer i powiada: Komendant prosi panów:

Poszli,—ja siedzę.

Znów dzwonek w telefonie: Czy Naczelnik przyjmie prezydenta ministrów?

Oficer kurtkę obciąga, leci na górę, alem mu jeszcze po drodze zawołał: Niech pan powie żeby i mnie...

Potem posłowie schodzą a oficer do mnie: Naczelnik czeka o 11-ej prezydenta ministrów. Niech pan idzie teraz prędko.

Teraz znowu,—bardzo przepraszam. Teraz ja sobie obciągne kurtkę. Za wszystkie razy...

Idzie się schodkami małymi, tędy którędy przed Polakami uciekał wielki książe Konstanty, — potem są drzwi na lewo i na prawo do Naczelnika. Serce mi uderzyło mocniej, otwarłem i wszedłem.

Nic, ani słowa, — stoję i patrzę. Komendant w dużym pokoju na szerokiem karle — za stołem. W rękach trzyma rozłożoną gazetę. Widzę Jego spojrzenie, które chodzi pilnie po stronicy. Jest w czarnych spodniach i szarej bluzce strzeleckiej, jak zawsze. Od jego wielkich brwi pada cień na oczy. Ma duże czoło, na którem widać trochę żyłek, zgrubiałych pewno od myślenia. — Nos ma prosty, ładny, tak ściągnięty

jak kiedy ktoś wzdycha przez sam nos.

Wygląda bardzo srogo. A potem wąsy ciemne, jak żelazo. Brodę ma ogoloną. I taki siedzi poważny, taki zacny, taki myślący...

Gazeta mu zachrzęściła w ręku.

Ja nic, ani słowa,—stoję i patrzę akurat nawprost okien, za któremi drzewa wśród nocy szeleszczą.

Nagle rozłożył gazetę i popatrzył na mnie mądremi, niebieskiemi oczyma.

— I cóż pan chce? — zapytał. — Głos ma nizki, jakby przydymiony przez te wąsy.

— Ja Komendancie?... Nic, tylko, że tu idzie o gwiazdkę dla dzieci kresowych. Jestem mazur i nie znam tych rzeczy. Ale Komendant sam jest dzieckiem kresów... Więc, żeby Komendant opowiedział dzieciom na gwiazdkę.

— Ja? — nastroszył się, brwi tak ściągnął, że mu się nad oczami u góry w malutkiego jeża zebrały. Potem się z karłem od stołu jedną nogą mocno odsunął i powiada, ale wciąż, jakby niby zagniewany: — A cóż pan chce, żebym im opowiedział.

— No nic, — ale...

— Może mam powiedzieć, jak mi bony nigdzie chodzić nie pozwalały? Jedna francuska, a druga niemka. Bo to w zimie chodzić samemu na własną rękę...

— A co Komendat sobie myślał, jako mały chłopiec?

— Com wtedy myślał? Myślałem, że jak będę miał łat czternaście, — czternaście lat uważałem za ostateczną granicę dojrzałości,—myśłałem że jak będę miał lat czternaście to świat do góry nogami wywrócę, a zacznie się to od powstania...

— A co Komendant dostawał na gwiazdkę? — Nie chcę

wam tego napewno powiedzieć, ale jakbym widział, że mu się pod wąsami uśmiech zaczaił.

Znów ściągnął brwi i powiada: — Przeważnie książki. Nie zawsze mi to było miło, ale ponieważ wśród rodzeństwa uchodziłem za „uczonego", więc trzeba było honor podtrzymywać. Tak jest, uchodziłem za uczonego i za prowodyra. I dlatego zawsze byłem wszystkiemu winien. Co kto, gdzie zrobił — zawsze Ziuk winien.

To znaczy, że Komendanta w dzieciństwie nazywano Ziukiem.

— I nawet, jak wiedzieli, — powiada, — że nie ja, a ktoś inny, to i tak się nazywało: Ziuk go do tego namówił...

— A czy tam na kresach Komendancie, Boże Narodzenie i wilja odbywa się tak, jak u nas?

Poprawił się na krześle, przymrużył oczy, że tylko wązkie skraweczki niebieskie między rzęsami widniały, potem się zrobił nagle bardzo dumny.

— Proszę pana,—rzekł w końcu, a słowa te jeszcze się szersze wydały, bo szły przez wąsy, razem z dymem papierosa,—proszę pana u nas gwiazdka, to ogromna historja. Pan wie ile na Litwie musi być potraw na Wilję? Piętnaście. Ile gatunków ryb? Gatunków ryb musi być pięć.

— To Komendant łasował? — krzyknąłem z radością.

— Tak jest, — odpowiedział otwarcie. — A widzisz pan teraz sobie istotnie przypominam jedną historję z czasów gwiazdki kiedym był dzieckiem. U nas wtedy na Litwie, bo to były właśnie czasy po Murawiewie, jeździli urzędnicy rosyjscy, których nazywano asesorami. Wszystko się ich okrutnie bało. Jeździli oni, zimą czy latem, z dzwonkami przy uprzęży. Słyszysz taki dzwonek na drodze i już wiesz, — asesor jedzie... Takim

asesorem straszono u nas w domu mego młodszego brata Ziuńka.

Zdaje się, że Komendant powiedział Ziuńka, niedobrze dosłyszałem, a nie śmiałem się pytać.

— Otóż mój młodszy braciszek Ziuniek bardzo się bał tego asesora. Gdy tylko był niegrzeczny, zaraz mu mówili,— przyjedzie moskal asesor, który chowa dzieci do worka i je pożera. — Wreszcie jest gwiazdka. Już się zbliża ta chwila, gdy się wilja kończy i na dany znak kuchcik zaczyna bić tłuczkiem w moździerz i dzwoni. Ziuniek przestraszony słyszy dzwonek tak blizko. Więc już na nikogo nie patrzy, tylko odrazu— buch pod łóżko... Dopiero go musiałem stamtąd wyciągnąć i zaniosłem do gwiazdki,—drzwi do salonu otwarte i drzewko się świeci...

A mnie przeleciało nagle przez głowę, że tak, jak z małym Ziuńkiem, tak z nami wszystkimi zrobił Komendant. Myśmy się też bali, a On nas, jak swego młodszego braciszka, zaprowadził ku gwieździe naszej wolności.

Tymczasem Komendant śmiał się na swoim karle, zakrywając sobie czoło z wielkiego śmiechu ręką. Tak pięknie błyszczy na niej brylant, który Mu dały dzieci wileńskie za oswobodzenie Wilna.

Ten brylant błyszczy na małym palcu Naczelnika, jakby kawałątko radości samej, całkiem prawie, jak duża iskra szczęścia...

TUWIM JULJAN: **Liryka rosyjska** (Serja I Balmont i Baiusow)

WHITMAN WALT: **Trzy poematy** (Przekład St. de Vincenza)

WIERZYŃSKI K.: **Wróble na dachu**

ZRĘBOWICZ ROMAN: **Nihilizm w sztuce**

wkrótce ukażą się:

BOCCACIO G.: **Fiametta**

CLAUDE FARÈRE: **Cywilizowani**

FRANCE A.: **Cud świętego Mikołaja**

IWASZKIEWICZ J.: **Dionizje**

„ **Legendy i Demeter**

KARSKI ZYGMUNT: **Musujący poranek**

SCHWOB M.: **Żywoty urojonych**

SHAW BERNARD: **Cezar i Kleopatra**

„ **Człowiek i nadczłowiek**

de VIGNY A. **Stello**